

Demokracja, najbardziej niebezpieczna religia – 3

28 czerwca 2023

Demokracja wielopartyjna

Wszyscy powinniśmy współczuć demokracji, temu jednemu słowu dźwigającemu na swoich plecach ciężar niemal całego oksfordzkiego słownika języka angielskiego. Ten biedny mały rzeczownik, opisujący prawie nic konkretnego, został obciążony tak wieloma niepowiązаныmi i nieistotnymi konotacjami, że powinien był upaść z wyczerpania lub nieszczęścia wieki temu. Stany Zjednoczone wydają się być wyjątkowe w zbieraniu wszelkiego rodzaju dobrych rzeczy i umieszczaniu ich wszystkich w worku Demokracji, do tego stopnia, że wydaje się, że w tym worku jest może 1001 rzeczy. W rezultacie słowo to oznacza to, co ktoś chce, by oznaczało, a my możemy mieć tysiące osób z tysiącem różnych znaczeń. Pewna amerykańska znajoma upierała się, że „prawo jej zwierzaka do karmy dla psów” jest „prawem człowieka”, a zatem zawiera się w znaczeniu demokracji.

Amerykańskie słowniki nie wydają się być zbyt pomocne, z niejasnymi, nieinteligentnymi i wyraźnie niezbadanymi definicjami na całej mapie. Niektóre twierdzą, że demokracja oznacza „samozarządzanie”, a tak nie jest. Inni twierdzą, że oznacza to „kontrolę grupy przez większość jej członków”, ale demokracja nie jest „kontrolą” czegokolwiek. Niektóre słowniki łączą demokrację z rządem lub zarządzaniem, a nie jest to ani jedno, ani drugie. Jeden z nich mówi, że jest to system, w którym wszyscy uczestniczą w podejmowaniu decyzji, co również nie jest prawdą i jest głupie. Inny twierdził, że jest to „system, w którym ludzie wykonują uprawnienia ustawodawcze”, również oczywiście fałszywie. Jeszcze inny twierdził, że jest

to „doktryna, zgodnie z którą większość liczbowa może podejmować decyzje wiążące dla całej grupy”, co być może jest prawdą, ale mija się z celem. Jeśli słowniki są tak zdezorientowane, to nic dziwnego, że wszyscy inni też są zdezorientowani.

Ale w prawdziwym życiu demokracja jest zaskakująco bliska bycia niczym. Jest to po prostu jedna z wielu metod wyboru przedstawiciela grupy ludzi, często zwykłą większością głosów. Nie musimy komplikować tego polityką czy partiami politycznymi. Kiedy wybieramy przedstawiciela uczniów w naszej klasie licealnej, nominujemy kilka osób, przeprowadzamy głosowanie i gotowe. Na tym polega demokracja. Możemy debatować nad tym punktem, ale zasadniczo demokracja jest procesem selekcji. To, co wybrani robią po wyborze, nie ma znaczenia dla definicji.

Rząd a polityka

Poważniejszą kwestią jest to, że (przynajmniej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie) „rząd” jest mylony i łączony z „polityką”, a oba są używane jako niejasne synonimy „demokracji”. Jest to jedno z głównych źródeł nieporozumień. Zajmijmy się najpierw kwestią rządu i polityki. Możemy argumentować, że te dwa elementy nie są ze sobą powiązane, z wyjątkiem najbardziej peryferyjnego sposobu, na styku. Niezależnie od tego, czy chodzi o kraj, czy korporację, „rząd” to zarządzanie. „Polityka” to walka o władzę.

W jednopartyjnym systemie rządowym nie ma czegoś takiego jak polityka w sensie, w jakim się nią tutaj zajmujemy. Dotyczy to również wszystkich naszych korporacji, instytucji i organizacji, w których mamy tylko jedną „partię”, jeden zespół zarządzający, pracujący razem dla dobra organizacji. Ideologie są odkładane na bok i szukamy konsensusu, a nie bitwy i „zwycięstwa” dla naszej strony. To jest właściwy rząd i zarządzanie, całkowicie wolne od polityki.

Prawdą jest, że takie podziały zdarzają się czasami w korporacjach, gdzie członkowie zarządu są pokonywani przez ideologie i stają się „polityczni”, a takie przypadki nieuchronnie szkodzą organizacji, ponieważ dzielą zespół zarządzający na przeciwstawne frakcje, a ogólne dobro organizacji i jej pracowników ginie w walce o ideologiczne zwycięstwo. Nie może być inaczej. Te „bitwy polityczne” nie są związane z faktycznym zarządzaniem instytucją lub organizacją; są po prostu wewnętrzną walką o władzę, a to niemal nieuchronnie pochłania organizację do punktu, w którym faktycznie wykonywane jest tylko minimum niezbędnego „zarządzania”. Takie walki o władzę zawsze rozpalają emocje, a jeśli będą trwać bez rozwiązania, sama organizacja upadnie. I to właśnie dzieje się dziś w zwolnionym tempie we wszystkich demokracjach świata: nieustanna walka o władzę między dwiema ideologicznie przeciwstawnymi frakcjami skutkuje zarówno brakiem, jak i złym zarządzaniem, a rządy nieuchronnie upadają w jakiś rodzaj autorytarnego faszyzmu.

Tak więc „polityka” to nie rząd; polityka to walka o władzę. „Demokracja” również nie jest rządem; demokracja jest jedynie procesem selekcji gubernatorów. „Rząd” jest zasadniczo niezwiązany ani z polityką, ani z demokracją; rząd to zarządzanie organizacją, czy to narodem, czy korporacją. Tak więc to, co Amerykanie zdają się nazywać „demokracją”, nie jest rządem. Jest to polityka oparta na religii, walka o władzę między dwiema drużynami, aby wybrać, która strona w tej walce zwycięży i dostarczy gubernatorów korporacji o nazwie Stany Zjednoczone Ameryki. Kiedy Amerykanie (i inni też) mówią o demokracji, mają na myśli walkę o władzę, bitwę między dwiema partiami politycznymi o dominację. NIE odnoszą się do „rządu”, do faktycznego zarządzania krajem po procesie selekcji, ale do samego procesu selekcji. Jeśli w to wątpisz, usuń dwie partie polityczne i walkę o władzę – kampanie wyborcze, a to, co masz, nie jest już demokracją, nie według żadnej przyjętej definicji.

Prawdą jest, że takie podziały zdarzają się czasami w korporacjach, gdzie członkowie kierownictwa są pokonywani przez ideologie i stają się „polityczni”, przy czym takie przypadki nieuchronnie szkodzą organizacji, ponieważ dzielą zespół zarządzający na przeciwstawne frakcje, a ogólne dobro organizacji i jej pracowników ginie w tej walce o ideologiczne zwycięstwo. Nie może być inaczej. Te „bitwy polityczne” nie są związane z faktycznym zarządzaniem instytucją lub organizacją; są po prostu wewnętrzną walką o władzę, a to niemal nieuchronnie pcha organizację do punktu, w którym faktycznie wykonywane jest tylko minimum niezbędnego „zarządzania”. Takie walki o władzę zawsze rozpalają emocje, a jeśli będą trwać bez rozwiązania, sama organizacja upadnie. I to właśnie dzieje się dziś w zwolnionym tempie we wszystkich demokracjach świata: nieustanna walka o władzę między dwiema ideologicznie przeciwstawnymi frakcjami skutkuje zarówno brakiem, jak i złym zarządzaniem, a rządy nieuchronnie popadają w jakiś rodzaj autorytarnego faszyzmu.

Tak więc „polityka” to nie rząd; polityka to walka o władzę. „Demokracja” również nie jest rządem; demokracja jest jedynie procesem selekcji gubernatorów. „Rząd” jest zasadniczo niezwiązany ani z polityką, ani z demokracją; rząd to zarządzanie organizacją, czy to narodem, czy korporacją. Tak więc to, co Amerykanie zdają się nazywać „demokracją”, nie jest rządem. Jest to polityka oparta na religii, walka o władzę między dwiema drużynami, aby wybrać, która strona w tej walce zwycięży i dostarczy gubernatorów korporacji o nazwie Stany Zjednoczone Ameryki. Kiedy Amerykanie (i inni też) mówią o demokracji, mają na myśli walkę o władzę, bitwę między dwiema partiami politycznymi o dominację. NIE odnoszą się do „rządu”, do faktycznego zarządzania krajem po procesie selekcji, ale do samego procesu selekcji. Jeśli w to wątpisz, usuń dwie partie polityczne i walkę o władzę – kampanie wyborcze, a to, co masz, nie jest już demokracją, nie według żadnej przyjętej definicji.

Powinno być oczywiste, że „demokracja”, przynajmniej według tej definicji, jest całkowicie niezwiązana z takimi rzeczami jak prawa człowieka, wolność słowa czy uniwersalne wartości. Jak stąd przejść do długiego i skomplikowanego zestawu „wartości demokratycznych”, które Amerykanie wykorzystują jako połączenie kazalnicy i bicia? Skoro demokracja to po prostu prawie nic, co mogłoby stanowić wartości demokratyczne? Jaki rodzaj hysterii skłania nas do przypisywania ludzkich wartości lub przypisywania ogromnej wewnętrznej wartości moralnej prostemu procesowi selekcji? To wyrażenie, podobnie jak „rządy prawa” i wiele innych, jest mitem i jak wszystkie mity, „ma służyć raczej funkcji emocjonalnej niż poznawczej, nie dostarczać faktów opartych na rozumowaniu, ale jako propaganda mająca na celu wzbudzenie emocji na poparcie jakiejś idei”. To nonsens. Cała idea, sama koncepcja „wartości demokratycznych” jest absurdalna. Amerykanie wzięli prosty proces bez księgowości, wstrzyknęli mu rodzaj teologicznego silikonu i przekształcili go w religię.

Częścią zachodniej biblii jest to, że jedynym oświeconym sposobem na wybranie gubernatorów lub prawodawców narodu jest stworzenie ideologicznego rozłamu, który podzieli populację na dwa gwałtownie przeciwstawne obozy, a następnie da im kije i pozwoli im walczyć. I ta walka jest jedyną prawdziwą „wartością demokratyczną”, jaka istnieje. Dodawanie do tej definicji takich rzeczy jak prawa człowieka jest dziecinnym nonsensem. Rdzeniem i jedyną ważną częścią „demokracji” jest walka o władzę, walka o zwycięstwo i prawo do mianowania gubernatorów jednej konkretnej ideologii do zarządzania krajem. To w istocie stanowi „demokrację”, nic więcej. Nie ma tu żadnej religii, żadnych praw człowieka, żadnych uniwersalnych wartości, żadnej karmy dla psów.

Nieuniknionym problemem jest to, że liczne ideologie i partie z natury służą jedynie tworzeniu podziałów i konfliktów, zarówno z definicji, jak i z założenia. Dwóch przeciwników w tej niekończącej się walce o władzę w żaden sposób nie działa

jako „kontrola i równowaga” dla siebie nawzajem, ani nie jest niczym, co można by nazwać „zdrową konkurencją”. Toczy się między nimi walka na śmierć i życie o zwycięstwo, której ofiarą nieuchronnie pada dobro całej organizacji. Gdyby walka o władzę zakończyła się po wyborach, ofiara mogłaby przetrwać, ale w każdym zachodnim parlamencie lub Kongresie USA ta walka o władzę nigdy się nie kończy, ponieważ obie partie dzielą się prawami do rządzenia i, podobnie jak w przypadku każdej korporacji, w której członkowie kierownictwa są pokonywani przez ideologie i stają się „polityczni”, ma to tendencję do niemal nieuchronnego pochłaniania „rządu” do punktu, w którym faktycznie wykonywane jest tylko minimum niezbędnego „zarządzania”. I podobnie jak w przypadku korporacji, nieustanna walka o władzę między dwiema ideologicznie przeciwstawnymi frakcjami skutkuje zarówno brakiem, jak i złym zarządzaniem, a rząd nieuchronnie upadnie. W takim kontekście nie może być mowy o planowaniu długoterminowym, ponieważ najdłuższy okres wynosi maksymalnie kilka lat i może być tak krótki, jak tygodnie lub miesiące.

Demokracja (polityka wielopartyjna) w prawdziwym życiu

Zobaczmy. Mamy przyjęcie urodzinowe i połowa dzieci chce iść do zoo, a połowa do parku. Rozdzielamy więc obie grupy, dajemy im kije i pozwalamy walczyć. Która grupa wygra, może podejmować wszystkie decyzje. Zrobiłbyś to? Cóż, dlaczego nie? To demokracja wielopartyjna. Mocno oddzielić ludność na podstawie jakiejś ideologii i pozwolić im walczyć. W demokracji wielopartyjnej nie ma miejsca na współpracę czy konsensus. Nie rozmawiamy, tylko walczymy. Ja wygrywam, ty przegrywasz. Taki jest system, z natury oparty nie na harmonii i konsensusie, ale na konflikcie. Kamieniem węgielnym systemu demokratycznego jest to, że „zwycięzcy” kontrolują wszystko, a „przegranii” są całkowicie marginalizowani. W zachodnim społeczeństwie politycznym nie ma widocznej troski o

przeegranych, mimo że mogą oni stanowić 50% lub więcej populacji. Zachodnia demokracja wielopartyjna jest jedynym systemem politycznym na świecie zaprojektowanym tak, aby pozbawić praw wyborczych, odizolować i zdradzić co najmniej połowę populacji.

Gdybyśmy chcieli podzielić naszą populację politycznie na dwie ideologiczne „partie”, logicznym podziałem byłby podział na kobiety i mężczyzn. A może podział płciowy – homo i hetero. To powinna być interesująca kampania wyborcza. Na nieszczęście dla demokracji, celowe rozszczepienie naszych społeczeństw dla celów politycznych zostało dokonane zgodnie z być może najbardziej zapalną z ludzkich cech, niemożliwym do pogodzenia podziałem symulacyjno-teologicznym, tworząc dwie frakcje wiecznie skaczące sobie do gardeł.

Mamy wiele nazw dla zespołów ideologicznych: Liberalno-konserwatywna, robotniczo-kapitalistyczna, demokratyczno-republikańska. Czasami nazywamy je lewicowcami i prawicowcami lub socjalistami i korporacjonistami, ale podział jest bardziej złowieszczy, niż sugerują te nazwy. Ideologiczny rozłam, który został stworzony na potrzeby polityki, jest tak naprawdę między ideologiczną lewicą a religijną prawicą – między pacyfistami a podżegaczami wojennymi. [1] I wydaje się, że choć nie roszczę sobie pretensji do socjologicznych kwalifikacji, ludzkie społeczeństwo, przynajmniej zachodnie, automatycznie podzieli się wzdłuż tych linii, jeśli tylko da mu się szansę. Kiedy spojrzymy na często gorący entuzjazm, z jakim wielu ludzi Zachodu przyjmuje swoje przekonania polityczne, staje się oczywiste, że ta separacja, ten podział ludzi według ich skłonności do podżegania wojennego, wiąże się z niektórymi z najgłębszych i najbardziej prymitywnych instynktów i emocji ludzkiej psychiki. Jaka rozsądna osoba świadomie podzieliłaby populację w oparciu o tę ideologię? I w jakim celu?

Substytut wojny domowej

Ideologiczne podziały nie służą dobru, a jedynie wywołaniu konfliktu. A konflikt ten nie jest tym samym, co moglibyśmy nazwać „zdrową konkurencją”. Konflikt polityczny jest wyłączny, nieuczciwy, czasami złośliwy, bardzo często nieetyczny, zmuszający ludzi do postępowania wbrew własnym sumieniom i dobru narodu dla dobra partii. Ideologiczne rozdźwięki nieodłącznie związane z polityką partyjną zostały wprowadzone do zachodniego rządu – celowo – właśnie dlatego, że wywołują konflikt tak niezbędny w każdym sporcie zespołowym. Jak możemy rywalizować, jeśli wszyscy są w tej samej drużynie, starając się po prostu wykonać swoją pracę? Nieunikniony wniosek jest taki, że zachodnia demokracja – a w zasadzie polityka – została celowo i sprytnie zaprojektowana nie po to, by wyłonić dobry rząd, ale by omamić chłopów do udziału w prymitywnym, społeczno-teologicznym rytuale rywalizacji, konfliktu i zwycięstwa. Użyteczny substytut wojny domowej.

Połączenie prymitywnych instynktów i emocji, które napędzają politykę, sporty zespołowe i religię, jest nie tylko potencjalnie wybuchowe, ale zasadniczo bezmyślne; rodzaj tęsknoty za mentalnością stadną ze skłonnością do przemocy. Oczywiście jest, że polityka, w zachodnim sensie, rzadko kieruje się rozumem. Rozum może pomieścić i wytrzymać dyskurs; ideologia z drugiej strony nie może. Polityka, religia i sporty zespołowe mają wspólne korzenie w zachodniej psychice. O żadnym z nich nie można dyskutować w sposób inteligentny przez bardzo długi czas; wszystkie wzbudzają gwałtowne emocje, wszystkie cierpią z powodu ideologii, która jest ślepa na fakty i rozum, wszystkie posiadają te same prymitywne psychologiczne atrakcje. Ludzie nie przyłączają się do partii politycznych z powodu zaangażowania na rzecz dobrego rządu, ani do zachodniej religii, by dowiedzieć się czegoś o Bogu. W obu przypadkach robią to, by dołączyć do zwycięskiej drużyny.

Większość ludzi Zachodu powie nam, że wielopartyjny system wyborczy to wolność i wybór oraz „prawdziwa demokracja”. Ale w systemie wielopartyjnym nie chodzi o wolność i wybór, ani o demokrację, ani o rząd. Chodzi o sfabrykowaną grę w konflikt społeczny i rywalizację, o grę w sport zespołowy. W demokracji wielopartyjnej „grą” nie jest dobry rząd, ale sam proces wyborczy. Gdy moja drużyna wygra wybory, gra się kończy i wszyscy idziemy do domu. W zachodnim świecie to „polityka” jest atrakcją, a nie „rząd”. Szczerze wątpię, by wiele osób aktywnie uczestniczących w procesie politycznym zastanawiało się choćby przez chwilę nad jakością wyłonionego rządu. Ich jedynym celem jest wygranie meczu dla swojej drużyny. Proces ten stał się tak skorumpowany, że zachodnia demokracja nawet nie udaje, że odnosi się do jakości rządu, który może powstać jako wynik końcowy po wyborach. Dzieje się tak dlatego, że rezultatem końcowym jest sam proces – rywalizacja, wygrana w wyborach, nic więcej.

W indywidualistycznych, czarno-białych społeczeństwach Zachodu, wielopartyjny proces demokratyczny nie jest w żaden sposób pomyślany jako metoda rozwiązywania problemów. Zamiast tego jest on świadomie wymyślony właśnie dlatego, że tworzy problem, angażując nieświadomą opinię publiczną w debatę nad nieistotnymi kwestiami, jednocześnie przygotowując grunt pod otwarty konflikt i polityczną walkę „prawa dżungli”. Częścią rozwiązania konfliktu w tej maskaradzie jest przymusowe głosowanie, które przemawia do zachodniej prawicowej mentalności, ponieważ jest to jedyny system poza fizyczną walką, który może rozwiązać problem na zasadzie wszystko albo nic, tworząc zwycięzców i przegranych, których potrzebują te społeczeństwa.

Jedną z bardziej niepokojących wrodzonych deformacji narodów z polityką wielopartyjną jest to, że do czasu, gdy wszystkie grupy interesów specjalnych – lobbyści, senatorowie, finansiści, bankierzy i płatki zgarną swój udział, prawdopodobnie nie pozostanie nic pożytecznego dla wspólnego

dobrze. Wyniki są z góry ustalone, ponieważ wybrani amerykańscy urzędnicy są zbyt zajęci dbaniem o interesy AIPAC, Izraela, lobby żydowskiego, CIA, amerykańskiego wojska, kontrahentów obronnych, międzynarodowych bankierów i dużych międzynarodowych korporacji, aby martwić się o ludzi i naród. Dobro wyborców jest coraz bardziej nieistotne, dlatego rząd USA wydał 7,7 biliona dolarów na ratowanie banków zamiast ludzi. Demokracja wielopartyjna w stylu amerykańskim to recepta na marnotrawstwo, nieefektywność i korupcję. Jest to jedyna forma rządu, która gwarantuje, że decyzje będą podejmowane z korzyścią dla prywatnych grup interesu, a nie dla całego kraju.

W jaki sposób rzekomo wspinała koncepcja demokracji uczestniczącej zeszła do tak żałosnego poziomu? Podstawową kwestią jest to, że zachodnia demokracja nigdy nie miała na celu wyboru kompetentnych przywódców lub dobrego rządu, ale zamiast tego została stworzona jako sposób na odsunięcie „ludzi” na bok, podzielenie ich według ideologii i zaangażowanie ich uwagi w grę – w rywalizację drużynową. Jest to całkowicie wina celowego i sprytnie zaplanowanego stworzenia polityki wielopartyjnej i jest już za późno, aby odwrócić kurs, za późno, aby wyeliminować dysfunkcyjne ideologie i przekleństwo polityki z rządu. Dziura jest zbyt głęboka; nie możemy wrócić do początku i zacząć od nowa. Wymagałoby to przewrotu społecznego równoważnego rewolucji ludowej, a każdy zachodni rząd zaciekle stłumiłby każdą taką próbę. Pomimo całej propagandy przeciwnej, żadna zachodnia „demokracja” nie pozwoliłaby „ludziom” na faktyczne przejęcie kontroli nad swoim rządem.

Sytuację znacznie pogarsza oczywisty fakt, że wszystkie te tak zwane „demokracje” są kontrolowane zza kulis przez tych, którzy zachęcają do rozłamu, ponieważ czerpią z niego ogromne zyski – ze skrajną szkodą dla całego narodu i jego mieszkańców. To w dużej mierze dzięki tej silnej zewnętrznej manipulacji i jeszcze silniejszemu zewnętrznemu finansowaniu

proces ten trwa nieprzerwanie. Niezbędne jest, aby wszystkie demokracje zakazały tym pasożytniczym kosmitom udziału w każdej części rządu, ale ich kontrola jest praktycznie całkowita i nie jest to już możliwe. A nawet wtedy partie polityczne nadal by istniały, więc problemy zmniejszyłyby się tylko nieznacznie. Jedynym trwałym rozwiązaniem byłoby wyeliminowanie samych partii politycznych, a tym samym uczynienie z Kongresu Stanów Zjednoczonych jednego zespołu pracującego wspólnie dla dobra narodu, ale jest już za późno i pozostanie to w sferze marzeń.

Epilog

Powtórzę tutaj krótki akapit z powyższego tekstu...

Kamieniem węgielnym systemu demokratycznego jest to, że „zwycięzcy” kontrolują wszystko, a „przegranymi” są całkowicie marginalizowani. W zachodnim społeczeństwie politycznym nie ma widocznej troski o przegranych, mimo że mogą oni stanowić 50% lub więcej populacji. Zachodnia demokracja wielopartyjna jest jedynym systemem politycznym na świecie zaprojektowanym tak, aby pozbawić praw wyborczych, odizolować i zdradzić co najmniej połowę populacji.

Bardzo ważne jest, aby zapytać: Jak się z tym czujesz?

Amerykańska przyjaciółka powiedziała mi, że zalała się łzami, gdy George Bush Jr. wygrał drugą kadencję. Była zrozpaczona, ale także zła i rozgoryczona, czuła się zdradzona. Była przekonana, że jej kraj strasznie ucierpi pod rządami tego reżimu, co też się stało. Wszyscy znamy to uczucie, gdy nasza partia przegrywa wybory lub ulubiona drużyna przegrywa ważny mecz; strata jest dla nas osobista i nie tylko rozczarowuje, ale i boli. Ale w wyborach krajowych pełne 50% populacji jest w takim stanie, czasem więcej, w zależności od kraju. Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałeś, czy po prostu czerpiesz satysfakcję z faktu, że „ty” wygrałeś? Czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym, że w wyniku waszej

cennej „demokracji”, która odzwierciedla „tęsknoty całej ludzkości”, połowa waszej populacji jest całkowicie pozbawiona praw wyborczych, rozczarowana, zła, urażona, a nawet rozgoryczona? Dlaczego ci to nie przeszkadza?

Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że jedno z najbardziej krytycznych wydarzeń w twoim narodzie – wybór twojego rządu – zostało celowo skonstruowane w taki sposób, aby zrazić połowę twojej własnej populacji? Dlaczego uważasz, że to dobrze? Czy to rozgoryczenie z powodu pozbawienia praw obywatelskich jest jedną z waszych „uniwersalnych wartości”? Czy ta alienacja jest jedną z „tęsknot całej ludzkości”, którą chcesz narzucić mnie i mojemu krajowi? Jak możesz twierdzić, że ta twoja „demokracja” jest najlepszym z możliwych systemów mianowania przywódców rządowych i prawodawców? Czy nie widzisz, o ile lepsze byłoby życie z tylko jedną partią polityczną, w której wszyscy byliby w tej samej drużynie i nie byłoby ciągłych walk o władzę? Dlaczego tak gorąco wierzysz, że wybór rządu powinien być sportem zespołowym, w którym bierze udział 200 milionów niekompetentnych graczy? Mogłoby to być zrozumiałe, gdyby kilka 8-letnich dzieci planowało przyjęcie urodzinowe, ale kiedy 200 milionów dorosłych używa tej metody do wyboru jednej rzeczy najbardziej krytycznej dla ich dobrobytu – ich rządu, to nie jest demokracja; to patologia.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Larry Romanoff

Tłumaczenie: FmforLXM (Bitomat)

Źródło zagraniczne: BlueMoonOfShanghai.com

Źródło polskie: Bitomat.wordpress.com

Licencja: Opublikowano za zgodą autora z prawem do przedruku przez Wolnedia.net. Komercyjne wykorzystanie ww. materiału jest zabronione.

Przypis

[1] W czasach sprzed wokeness, grupy te miały bardzo jasną identyfikację – socjalistyczni liberałowie i twardogłowi korporacyjni konserwatyści. Ale dziś, gdy każdy polityk wydaje się być najbardziej gejowskim transwestytą w bloku, ich pozycje w spektrum stają się coraz bardziej rozmyte. Wciąż jednak mamy swoich pacyfistów i podżegaczy wojennych.